



Józef Hen

**BOKSER  
I ŚMIERĆ**

*opowiadania zebrane*

MANDO

# **Bicie po twarzy**

# Bokser i śmierć

Rudowłosy młodzieniec zdziwił się, że nie słyszeliśmy o Januszu Kominku. Ten pędrak, ten żółtodziób – intruz niemal w naszym towarzystwie starych wyjadaczy – ośmielał się wyrażać nam z tego powodu swoje łaskawe ubolewanie. Wreszcie ktoś przypomniał sobie:

– Ach tak, Kominek, naturalnie... Bokser wagi półciężkiej. Widziałem go tuż przed wojną w meczu Rzeszów – Lublin. Wygrał swoją walkę przez k.o. Miał niezły cios. Czy jeszcze boksuje?

Rudowłosy odpowiedział nonszalancko:

– Powiedzmy, że jest prowincjonalnym działaczem sportowym. Choć zapowiadał się na mistrza świata. Ale nie to jest ważne. Chciałem opowiedzieć wam coś z jego życia. Niesamowita historia! Najpierw jednak małe pytanie: czy słyszeliście o Walterze Krafcie?

Byliśmy oburzeni. Gołową! Czy słyszeliśmy o Krafcie? Takie pytania mogą zadawać tylko pisklęta, które zaczynają dopiero świat poznawać.

Kraft – to epoka w dziejach niemieckiego boksu. Długoletni kandydat do tytułu mistrza świata. Słyszeliśmy, że podczas wojny był spadochroniarzem, brał udział w desancie na Krym, a co potem – nie wiadomo.

– Tak, był spadochroniarzem – potwierdził rudowłosy. – I brał udział w desancie na Krym, zgadza się. Został ranny. Podobno rozzłościło go to tak, że wyraził się w słowach niezbyt parlamentarnych o polityce Hitlera. Język niemiecki nie obfituje wprawdzie w taką ilość drastycznych określeń jak rosyjski, ale za to są to słowa zdecydowanie cuchnące. Gdzież im do poezji wymyślań rosyjskich! To uwaga na marginesie. W każdym razie wiadomość o tym, co powiedział Walter Kraft, doszła do Hitlera. Führer nie był, jak wiadomo, obdarzony nadmiernym poczuciem humoru. Nie potrafił przebaczyć nawet ulubionemu bokserowi. Ale zemsta nad popularnym Kraftem nie była rzeczą

prostą. Wymyślił więc dla niego coś w rodzaju pokuty: mianował go naczelnikiem obozu koncentracyjnego, i to nie jakiegoś obozu numer 1, Oświęcimia czy Mauthausen, nie, trzeciorzędnego obozu w okolicach Kluczborka.

Jakim lagerführerem był Kraft? Niestety, lojalnym. Ten olbrzym był tchórzem i chociaż nie uwielbiał Hitlera, więźniowie szybko pojęli, że słowa krytyki wyrwały mu się w chwili wyjątkowego rozgoryczenia. W obozie zbudowano komorę gazową i krematorium i dokonywano wyniszczenia na małą, trzeciorzędną skalę. Kraft nienawidził swoich więźniów, bo czuł się zesłańcem jak oni. Wydawało mu się, że gdyby ich nie było, nie musiałby tkwić tutaj, ale mógłby błyszczeć w salonach kupieckich Hamburga, skąd był rodem. A przede wszystkim – bić się. Trzydziestosiedmioletni Kraft wciąż miał piekielną bombę z prawej, wciąż miał bokerskie oko i duże wyrobienie techniczne. Boks był nie tylko jego zawodem, ale i namiętnością. Nie odznaczał się szczególną inteligencją. Jak wielu mieszczan niemieckich czytał książki, chodził do opery i na koncerty – z obowiązku. Przeczytał nawet kiedyś Nietzschego, z którego zrozumiał, że dobry bokser jest „nadczłowiekiem”, i Schopenhauera, z którego wyniósł, że skoro tak, to wszystko mu wolno. A więc trudno, w obozie giną ludzie, ale po pierwsze – jest „Befehl”, po wtóre – są to niewątpliwie podludzie. Polacy i Żydzi. I cóż za cherlaki! Zresztą wołał się w to wszystko nie zagłębiać. Przeciwnie, należało się zasłużyć w oczach góry hitlerowskiej, by znów móc wrócić na ring.

Kiedy rana przestała dolegać, Kraft postanowił wznowić treningi. Kazał wybudować specjalny barak, do ściany przybić drabinkę; ustawiono kozioł, powieszono gruszkę i worek treningowy. Ćwiczył skakanekę, objął worek i gruszkę, walczył z cieniem. Siły wracały. Trzej lekarze obozowi, przysłani tu, jak i Kraft, za karę, lubili przyglądać się treningom komendanta. „Widziałem trening Krafta” – ostatecznie, móc tak powiedzieć, to nie byle co. Jego zastępca, ponury esesman Holder, też był zadowolony z fanaberii swego szefa; stawał się przez nie faktycznym władcą obozu. Pucybut Willi przyglądał się ćwiczeniom Krafta z lekką wzdrganą. Boże, i za takie wygłupasy ludzie płacą grube pieniądze! Ten Willi, musicie wiedzieć, był wśród tych panów najpocziwszym chłopem, bo – zwykłym rzeźmieszkiem. Wiedział z doświadczenia, że najlepszy prawy hak jest niczym wobec zgrabnego uderzenia nożem.

Ale najbardziej zadowolona z treningów Krafta była Helga, rosła Niemka, którą Pan Bóg przeznaczył do rodzenia dzieci, a której Führerowi udało się swego czasu wmówić, że powinna podawać do stołu w kantine oficerskiej w Jugosławii i nie odmawiać swych wdzięków ludziom broniącym

„tysiącletniej Rzeszy”. W kantine poznał ją spadochroniarz Walter Kraft. Przypomnił sobie o niej, gdy został lagerführerem. Przypomnił sobie choćby dlatego, że jego żona, starzejąca się kobieta, nie chciała udać się z nim do obozu. Gdyby Kraft wszczął z tego powodu kroki rozwodowe, mogłoby to się dla niej źle skończyć. Ale Kraft wołał milczeć. Sprowadził sobie jasnowłosą, potężną Helgę (Teresa Kraft była mała i szczupła) i wydawał się zadowolony.

Jedna Helga wiedziała, co się dzieje w duszy Krafta. Bała się, że chandra może w każdej chwili wrócić i wtedy świat znów usłyszysz, co mistrz Niemiec naprawdę myśli o Führerze. Kiedy Kraft wznowił treningi, Helga odetchnęła. Spokój młodej pary został uratowany.

Ale nie na długo. Bo oto pewnego dnia Kraft, rzeński i świeży po prysznicu, powiedział otaczającym go lekarzom:

– Panowie, żałuję, że nikt z was nie lubi rękawic! Bez sparring-partnera formy nie osiągnę. – I zwrócił się do swego pucera: – Willi, przynajmniej ty, gamoni, mógłbyś się dać znokautować.

– *Zum Befehl!* – wrzasnął Willi.

– Nie rób z siebie Szwejka – mruknął Kraft. – Nie mogę przecież walczyć z „kogutem”.

Jeden z lekarzy zauważył:

– Powinien pan poszukać wśród więźniów.

– Polacy i Żydzi – odparł cierpko Kraft.

– Czy nigdy nie walczył pan z Żydami? – zapytał inny lekarz, przysłany tutaj za rozpowszechnianie żartów o Goebbelsie.

– Mój panie, zarabiałem na tym nielicho. Nie byłem wtedy jeszcze uświadomiony (wszyscy się uśmiechnęli, Kraft też) i nie zwracałem na rasę uwagi. Ale teraz... znam swoje obowiązki Niemca. Zresztą nie ma o czym mówić. Wśród tych cherlaków nie znajdę przeciwnika. Nie mam tu żadnych warunków. Pisałem do swego menedżera, ale nabrał wody w usta.

Do baraku wszedł Holder, ów zastępca Krafta, a właściwie jego nadzorca, drań bez skrupułów.

– Panie majorze, skazańcy czekają!

– Skazańcy? – spytał zdziwiony Kraft. Lekarze wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Hauptmann Holder wyjaśnił:

– Zbiegowie. Schwymano ich piętnaście kilometrów od obozu. Schwytych zbiegów zabija się bez sądu. – Dodał: – To jedyny sposób utrzymania więźniów w karności.

Helga odezwała się:

– Więc po co major Kraft ma ich oglądać? Niech pan robi swoje, panie kapitanie.

– Chwileczkę – powiedział Kraft. „Krowa – pomyślał o Heldze. – Znow wtrąca się do nie swoich rzeczy. Może tę ucieczkę wymyślił Holder? Bestia! Gdybym był więźniem, też bym usiłował stąd uciec. A czyż nie jestem więźniem? Jestem. Ale nie uciekam”. – Chwileczkę – powtórzył Kraft. – Ma pan rację, panie kapitanie, powinienem ich zobaczyć. Oko pańskie konia tuczy...

Jak zwykle dziedziniec tonął w błocie. Holder udawał, że błoto jest konieczne. „To oddziaływa na psychikę więźnia, łamie go i rozbija”. A więc jest błoto. Opryskuje pięknie wyglansowane buty Krafta. Kraft się nie martwi, od tego jest Willi. Willi też się nie martwi: te buty to podstawa jego istnienia. Ale ci tam...

Stali w szeregu. Było ich sześciu.

– Zdaje się, że uciekło dziewięciu – powiedział Kraft.

– Trzech Żydów – wyjaśnił Holder. – Tych kazałem sprzątnąć od razu.

Sprzątnął od razu. Żydzi. No, nie wdawajmy się w jałowe mędrkowanie. Powiedzmy parę słów tym ludziom. Idą na śmierć, trzeba ich przekonać, że sobie na nią zasłużyli.

Spojrzał na nich, ale nie zobaczył twarzy. Uświadomił sobie tylko cyfrę. Sześciu. To nie tak dużo. Nie patrzą na niego, nie oczekują od niego niczego. I słusznie. Za ucieczkę śmierć bez sądu. Jest rozkaz – i rozkaz słuszny. Jak każdy rozkaz.

Krzyknął:

– Uciekliście! Wiecie, że nie wolno uciekać. Poniesiecie słuszną karę, zostaniecie straceni w komorze gazowej. Czyż nie uprzedzaliśmy was, że tylko praca daje wolność?! Zlekceważyliście to! To, co was spotyka, to sprawiedliwy wyrok. Tylko sprawiedliwość, zapamiętajcie to sobie!

Któryś z sześciu poruszył się, szurnął sandałem po błocie. Aha, chce żyć! Czy każdy musi żyć? Cóż taki ma z życia? Po co mu życie? Spójrzmy mu w oczy. Ależ to chłop, naturalnie, chłop o jasnych żrenicach, przezroczytych jak woda źródłana.

– Czy lubisz operę? – zwrócił się znienacka do więźnia Kraft.

Niemcy poruszyli się niespokojnie. Helga załamała ręce. Zaczyna się. Walter ma napad „humanizmu”.

Więzień nie odpowiadał.

– Czy widziałeś kiedy operę?

Więzień potrząsnął przecząco głową. Nie, nie widział. Nie widział! Poziom tego człowieka jest zdumiewająco niski. Polski chłop. Czy musi żyć? Po co mu żyć? Po co tyle energii wkłada w obronę marnego życia – znojnego, twardego, pełnego potu, strachu, nędzy, bez kina, opery, luksusu, aut?

Teraz dopiero zauważył, że więźniowie byli obszarpani i pokrwawieni. Stawiali opór? Zakrzepłe strugi krwi widniały na ich policzkach, czole, na kolanach wyzierających spod porwanych spodni, a jeden, najwyższy, miał rozkrwawiony nos. Ten nos był szeroki, mięsisty, spłaszczony pośrodku. Ileż takich nosów Kraft porozbijał w życiu? Nie mógł się powstrzymać od tego, by nie zauważyć:

– Nos masz jak bokser.

Więzień drgnął. Był przeraźliwie chudy, skóra i kości, młody zapewne, ale o starczych oczach. Stał niepewnie, jakby z trudem utrzymywał się na nogach. Bąknął:

– Bo byłem bokserem.

I zaraz pomyślał: „Po co mu to mówię? Po co draniowi o tym mówię? Bo póki mówię – żyję. Wciąż jeszcze żyję”.

Kraftowi zaświeciły się oczy.

– Byłeś bokserem? A dobrym? Jakiej wagi?

– Półciężkiej.

– Półciężkiej! Ty – półciężkiej? Kłamiesz!

– Wyglądałem trochę inaczej.

„Tak, to możliwe” – pomyślał błyskawicznie Kraft i spytał:

– Nazwisko?

– Kominek.

– Przyjmij postawę bokserką. – Kiedy Kominek ociągał się, wrzasnął: – Do kogo mówię?!

Kominek stanął w postawie bokserkiej. Nic nie rozumiał. „Czego on chce? Czego on ode mnie chce?”

– Teraz uważaj – powiedział Kraft.

Błysnął lewą pięścią i nagle wypuścił piorunującą prawą. Był to hak, który kładł wielkoludów. Gdyby spadł na głowę Kominka... Ale rzecz w tym, że nie

spadł. Ten ruch głową, który Kominek uczynił, był na wpół świadomy, ale uratował go od ciosu. Kraft zaśmiał się aprobująco:

– *Gut. Sehr gut.* Za mną marsz.

Dla pozostałych więźniów stracił nagle zainteresowanie. Holder do niego przyskoczył:

– Można już? – zapytał, wskazując na więźniów.

– Naturalnie, naturalnie.

– A ten?

– Będzie moim sparring-partnerem.

– Tak jest, panie majorze. Czy będzie mieszkał na bloku?

– Jak każdy więzień. Z apelów zwolniony. Co rano przyjdzie do mnie, do mojej dyspozycji.

Kominek udał się za majorem Kraftem. Słyszał oddalające się człapanie nóg: tamci szli na śmierć. Pechowcy, którzy nie byli bokserami. Pechowcy, którzy nie mieli pokrwawionych nosów. „Ale ja żyję – uprzytomnił sobie. – O ile nie okaże się, że nie nadaję się na sparring-partnera i pośle mnie do gazu. Oczywiście, że się nie nadam. Taki patałach, taki łazęga, taki muzulmanin” – lżył siebie w myśli.

W baraku nie było ringu. Walczyć należało między ścianami. Jeden z lekarzy podjął się mierzyć czas.

Kominek patrzył na wszystko osłupiałymi oczyma. Drabinka – kozioł – gruszka. Przedmioty z nierealnego świata. Skąd się wzięły tutaj – w tej otchłani piekiel? To wszystko jest nieprawdziwe! Prawdziwe jest tamto, co się dzieje za barakiem. Prawdziwy jest gaz i piec, i popiół. Za chwilę jego towarzyszy zamkną w komorze. Może już zamknęli. Duszą się, łakną powietrza... Cóż robić, nie mieli bokerskiego nosa.

– No rusz się – usłyszał.

Stał przed nim Kraft, zdrowe muskularne byczysko, szeroki w ramionach, wąski w pasie – prawdziwy Apollo boksu. Włosy miał czarne, skórę śniadą, pierś mocno obrobioną, nogi szczupłe, zgrabne, o łagodnej, podłużnej muskulaturze, także gęsto owłosione.

– No rusz się, zrzucaj łachy, zrób przysiad.

Willi wszedł z Polakiem za przepierzenie, rzucił mu spodenki, koszulkę i buty. Potem zawiązał rękawice.

– Mucha jesteś – przygadywał. – On takich gasi w locie. Trach – i po tobie. Pójdiesz do pieca! Na co mu się zdasz!? Nawet żeby się przed Helgą pochwalić, i do tego mu się nie nadajesz.



Kominek ze zdziwieniem spoglądał na rękawice na swoich dłoniach. Za chwilę stoczy walkę! Zrobił przysiad, podskoczył kilka razy w miejscu, aż w stawach zachrobotało. Czuł się słaby jak po długiej, wyczerpującej chorobie, słaby jak dziecko. I musi walczyć – z kim? Z mistrzem nad mistrzami! Jeśli okaże się do niczego, pójdzie do pieca.

– Gotów? – zapytał promieniejący przeciwnik.

Helga nie odrywała od Krafta wzroku. Jak wspaniale wygląda! I nareszcie jest sobą. Można bez obawy patrzeć w przyszłość, Walter nie będzie już robił żadnych głupstw. Była gotowa obdarzyć cieplejszą myślą nawet tego wychudłego Polaka.

Lekarz niemiecki spojrział na zegarek i skinął głową.

– A więc zaczynamy.

Omal nie podali sobie rąk.

Kominek stał na straconej pozycji i wiedział o tym. Chyba że jakiś cud... Może nastąpi? Czy tamta historia na dziedzińcu nie miała w sobie czegoś nadprzyrodzonego? Może właśnie teraz nastąpi coś cudownego? Przypatrywał się hipnotyzującym wzrokiem Kraftowi, który spokojnie, z nonszalancją starego zawodowca, przyjął postawę. „Wytrzymać dwie rundy – pomyślał rozpaczliwie Kominek. – Jedną rundę! Tylko jedną rundę!”

Cały wysiłek skupił się tylko na tym: nie dać się trafić. Prawa Krafta – to koniec sparringu. Zostanie wówczas zwykłym więźniem. Więźniem, który zbiegł. Zbiegów posyła się do komory gazowej.

Kraft wypuścił lewą. Podwoił ten cios i potroił. Kominek przyjął serię na zablokowane rękawice. Wyleciała błyskawicznie prawa. Ale Kominek odstąpił o krok. Cios Niemca przeszył powietrze. Lewy i prawy sierp minęły o centymetry czujną głowę Polaka.

– Bravo! – krzyknął lekarz, ten sam, który żartował z Goebbelsa.

Willi zaśmiał się sucho, gdy lewy prosty Krafta znów natrafił na łokieć Polaka. Ale zaśmiał się niepotrzebnie, siła ciosu odrzuciła Kominka do tyłu. Kraft poszedł natychmiast za nim. Dwa szerokie cepy nie doszły do celu. Piekielny prawy sierp musnął szczękę Janusza. Niemal równocześnie Janusz wypuścił prawą kontrę. Rąbnął swego naczelnika w otwartą pierś, w samo serce. Wszyscy się zaśmiali, tak słaby był ten cios. Jak dotyk rączki niemowlęcia.

„Ach, wytrzymać rundę, tylko rundę” – myślał gorączkowo Kominek. Gdyby nogi lepiej chodziły, gdyby sobie chociaż trochę był podjadł, tamtemu nie poszłoby tak łatwo.

Ale nogi już drętwiały, a ręce odmawiały posłuszeństwa. Z trudem łapał oddech. Pięści Krafta migają mu przed oczyma, coraz bliższe i większe. Instynktownie uchylał głowę, dawał kroki w przód i w tył, blokował, czasem wysuwał lewą do przodu, czasem kontrował prawą. Ale wiedział, że to już koniec. Nie wytrzyma rundy.

Zwyczajski Kraft przyparł go do ściany. Kominek zdołał uniknąć dwóch silnych cepów. Lewy sierp wstrząsnął nim. Pochylił się przodu, jakby chciał rzucić się na przeciwnika. Kraft poprawił potężnym prawym hakiem i Polak zwalił mu się do nóg.

Kominek leżał na podłodze. Przytomność powoli wracała. Nie czuł bólu, tylko wielkie znużenie. Gdzieś w pobliżu ulatniał się zapach dymu – ach, to pewnie pociąg przejechał, w głowie tak dudniło... A więc jest w domu u swego ojca zawiadowcy, u swojej młodej, dobrej żony. Jakim sposobem się tu znalazł? Ha! A Hala tak się śmieje, tak głośno się śmieje, nigdy się tak denerwująco nie śmiała, rzy jak koń... .

Śmiech się urwał i Helga powiedziała:

– Jesteś w świetnej formie, Walt. Ten cios był boski.

„Znokautował mnie” – uprzytomnił sobie nagle Kominek. Był znokautowany i pies z kulawą nogą o niego nie dbał. Próbował zerwać się, ale zdołał zaledwie stanąć na czworakach.

Kraft mruczał niezadowolony:

– Też przeciwnik! Z kim mam się tu bić, u diabła?

Lekarz, który sędziował, oświadczył:

– Walczył minutę trzydzieści pięć sekund.

– Walczył! Nie trafił mnie ani razu. – Kraft spojrział ponuro w okno. – Trzeba go zwrócić Holderowi.

Kominek poczuł zapach dymu. To z krematorium! A więc tamci mają już wszystko za sobą.

Helgę przeraził wyraz twarzy Waltera, gdy mówił o Holderze. Jeśli ten Polak pójdzie do pieca, jej chłop narobi głupstw.

– Mój drogi, on jest wyraźnie niedożywiony – perswadowała.

– Tak jest, panie majorze! – wtrącił naraz Willi. – On waży co najmniej o dwadzieścia kilo za mało. Pozwolę sobie zameldować, że i ja głodny – jestem do niczego, nie potrafię nawet butów wyglansować.

Kraft rozjaśnił się.

– Tak, to prawda, panowie. Poza tym on jest bez treningu. A więc dobrze, spróbujmy. Willi, daj mu się nażreć! W ciągu trzech dni ma mu przybyć sześć

kilo. Jeśli będzie deko mniej, stracisz miejsce. Panowie! Za cztery dni wielkie spotkanie Niemcy – Polska. Były mistrz Europy Walter Kraft contra mistrz uciekinierów... *Wie heißt du?*... Kominek, Janos Kominek... *Also, auf Wiedersehen, meine Herren!*

Willi zaprowadził oszołomionego Janusza do swojej komórki. Poklepał go nawet po ramieniu.

– Jedz! – rozkazał, podsuwając mu garnek z gęstą zupą.

Powiadają, że kuchnia niemiecka nie jest smaczna. Bzdury! Kominkowi zupa Willego wydawała się niebiańska. Być może, iż ktoś powie, że powinien był w tej chwili pomyśleć o towarzyszach, którzy zginęli. Ale nie pomyślał. Trzęsącymi się rękami pchał do ust łyżkę po łyżce. Tylko to miało znaczenie: zupa. Gęsta zupa na jarzynach, z mięsem. Dojadał do niej ogromny kęs razowca. A więc żyje – i je! Ma przed sobą trzy dni. Cztery noce. Noc należy już tylko do niego. W nocy śni się Hala, jej jasny, pachnący warkocz, jej gorący uścisk. W nocy śni się ich pokój w domku rodziców, brązowe belkowanie sufitu, miękka pierzyna, kolejarska czapka ojca, świst lokomotyw, dudnienie kół, malwy i słoneczniki, lipy, kasztany i klony, kolorowy świat, który dawno nie istnieje, a może i nigdy nie istniał. Cztery noce! Żołądek napełnia się, jest coraz cieplej, powieki ciężą. A więc jednak stał się cud.

– *Genug!* – krzyknął Willi.

Sprzątnął mu garnek sprzed nosa. Kominek przyglądał się ordynansowi naczelnika wystraszony. Dlaczego zabiera garnek? Po chwili zrozumiał: nie wolno się obżerać, to się może źle skończyć.

Willi dał mu bochen chleba, kubek marmolady, kawał słoniny.

– To na potem – wyjaśnił pucybut. – Będziesz tu przychodził trzy razy dziennie. Utuczę cię jak wieprza na ubój.

Było już po apelu, kiedy Kominek wrócił do baraku. Blokowy wiedział o wszystkim, przywitał go z szacunkiem. Zmęczony bokser dowlókł się do swojego miejsca na pryczy. Boleśnie odczuł zetknięcie ciała z twardymi deskami. Zaczynała się pierwsza z czterech nocy życia. Teraz zawrzcę powieki – i śnić.

Ale, rzecz dziwna, nie mógł spać. Zobaczył ze zdumiewającą wyrazistością, jakby w zwolnionym tempie dzisiejszą walkę z Kraftem. Odżyła w jego pamięci – cios po ciosie, unik po uniku. Poruszył niespokojnie nogami: jakie sztywne! „Czy mogłem uniknąć ostatnich dwóch ciosów? Nie, nie mogłem. W żaden sposób nie mogłem”. Minuta trzydzieści pięć sekund – bronił się dosyć długo.

Usłyszał czyjs chropawy szept:

– Kominiek?

– Hę?

– Nie śpisz?

– Nie.

Na pryczę wgramolił się szerokoplecy, zgarbiony mężczyzna o wyblakłych brwiach i obwisłych policzkach. Janusz widział go w baraku nieraz, ale bliżej się jeszcze nie poznali.

– Pamiętam cię, Kominiek – szepnął mężczyzna. Ochrypłość jego głosu wydała się Januszowi bardzo przyjemna, jakby ojcowska. – Widziałem twoją walkę przed wojną... Pomyślałem sobie: gdybym był trenerem, zająłbym się tym chłopcem. Węźlak jestem.

Nazwisko to nic bokserowi nie mówiło.

– Nie słyszałeś? No, taki szczeniak nie mógł jeszcze słyszeć. Ale starzy bokserzy mnie znają. Stały kibic. Nie opuściłem ani jednego poważnego meczu. Jeździłem nawet z naszą drużyną do Berlina, Essen i Hamburga. Czuli się lepiej, kiedy wiedzieli, że jestem na trybunach. Ale o czym mówić? W kronikach o tym nie piszą. Trenerem nie byłem. No i co, bardzo cię obić? Trafiłeś go?

– Ech, co tam... Jakby go mucha trzepnęła. Powiedział, że będzie mnie dożywał. Walczę z nim za cztery dni.

Węźlak wyciągnął się na pryczy, podłożył pięć pod głowę.

– Za cztery dni... Dobremu trenerowi dwa tygodnie wystarczą dla przywrócenia bokserowi nawyków technicznych; trzy – do doprowadzenia go do jakiej takiej kondycji. Ale przecież żaden bokser nie przychodzi do trenera w takim stanie jak ty. Chleba nie masz?

– Mam. Mam, a jakże. – Kominiek odłamał sąsiadowi sporą porcję chleba.

Węźlak jadł w milczeniu. Kiedy skończył, powiedział:

– Uważaj, cudów nie ma. Cała twoja taktyka na razie – nie dać się wykończyć. Bo Kraft może wykończyć na amen. Byli tacy, którzy po walce z nim zawieszali rękawice na kołku. Ale ty się nie bój. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. On też ma słabe miejsca. Ale na razie nic z tego. Jutro do niego idziesz?

– Idę. Jeść i trenować.

– Nie trenuj. Przez dwa pierwsze dni nie trenuj. Musisz nabrać sił. Najwyżej pięć minut gimnastyki rozluźniającej. Trzeciego dnia forsowniejszy trening: dziesięć minut gimnastyki, minuta gruszki, minuta walki z cieniem,

dwie minuty skakanki. Nie więcej, bo się zarżniesz. Czwartego dnia, przed walką – powtórz to wszystko. Dla rozgrzewki. Zapamiętasz sobie?

– Tak – powiedział Janusz. I stwierdził: – Mądrze pan mówi.

– No, coś niecoś się na tym rozumiem. Znaczą się, ufasz mi?

– Co mam nie ufać.

– No to uważaj. Staraj się przetrzymać dwie rundy. Unik, blok i odstępowanie to jeszcze za mało. Pamiętaj też o zwrotach.

– Nogi mam sztywne.

– Jasne. Ale może gimnastyka zdąży ci je trochę wyrobić. Więc zwroty. Dwie rundy ataku dadzą mu dosyć zadowolenia. W trzeciej połóż się.

– To znaczą jak?

– Frajerze, nie daj się znokautować. To morderca, potrafi zniszczyć boksera ciosami. Przewalczyłeś dwie rundy – koniec, moje uszanowanie. Nie daj się zniszczyć. Musisz przecież dociągnąć do chwili, kiedy będziesz w pełnej formie. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem. Ale chciałbym go czasem trzepnąć.

– Co ci to da? Chowaj cios, magazynuj go. Może przyjdzie chwila – i wtedy jak władujesz! Uważaj, Kraft nigdy nie lubił być bity. Jemu wystarczy, jeśli ty się będziesz umiejętnie bronił. Wytrzymaj dwie rundy.

– Dwie rundy! Czy pan wie, jak on bombarduje?

– Czy wiem? Widziałem go trzy razy. Ale ci zawodowcy nie są tak szybcy, jak dobry amator. Poza tym Kraft sygnalizuje trochę ciosy. Przy twoim refleksie...

– Skąd pan wie o moim refleksie?

– Wiem. Gdybym nie wiedział, czyżbym pomyślał sobie wtedy, że chciałbym się tobą zająć? Daj, synu, kawałek chleba...

Zasnęli.

Nazajutrz Węzłak poszedł wraz z innymi na apel. Janusz usiadł na pryczy, patrząc nie tylko z góry, ale i jakby trochę z boku na kotłowaninę w baraku. Nie ludzie, lecz cienie, zziębnięte cienie – cóż może być gorszego? Wychodzili jeden po drugim w szarość przedświt, obrzucając boksera zawistnymi spojrzeniami. On mógł leżeć i spać. Więcej: mógł uderzyć w twarz Niemca! Przymknął oczy jak od nadmiaru rozkoszy. Kropnąć w mordę lagerführera! – o rany! – czego się tu namyślać? Kropnąć go raz – tak, żeby poczuł, żeby się zachłysnął własną krwią – krwią pomordowanych – a potem niech zabiją, niech spopielą, wszystko jedno!

Podszedł sztubowy i powiedział przymilnie:

– A ty, chłopie, śpij, śpij...

Nie, nie będzie spał! Poczul głód – i to z taką siłą jak nigdy przedtem, nigdy wówczas, gdy nie miał nic do jedzenia. Ale teraz miał. W woreczku leżało pół chleba, kawał słoniny, kubek marmolady. O Boże, kiedyż ten sztubowy odejdzie? Poszedł! Kominek rzucił się na chleb, rozgryzł słoninę, oblizał palce, zjadł marmoladę, wylał kubek. Poczul się silniejszy. „No, no – pomyślał – rąbnąć takiego Krafta to można, ale co z tego? Nokautu nie będzie. Węzłak ma rację. Taki facet z trybuny często widzi więcej niż sam bokser. Trzeba magazynować siły. I nie pozwolić się zniszczyć Kraftowi. Następną walkę komendant wygrywa w trzeciej rundzie przez k.o. O ile uda mi się, rzecz jasna, przetrzymać dwie rundy”.

Tak myślał w baraku. Ale gdy dźwignął sztywniejące nogi i wyszedł, poczul się bezradny i zagubiony. Bezkres błota. Powietrze było szare jak popiół. Szarość oslepiła, ziębiła ciało, przenikała do krwi. Czul się nią przekłuty jak stalowymi igłami. W oddali wyłaniał się z niej kontur komina krematoryjnego. W powietrzu unosiły się strzępy okrzyków jak charkot gruźliczy.

Widok Willega sprawiał mu niemal przyjemność. Znów jadł tę niebiańską zupę, a Willi tłumaczył:

– Frykasów nie ma, chyba że dla nich tam. Dla pucerów i bokserów – system jednego garnka... Będziesz trenował?

Kominek potrząsnął przecząco głową.

– No, no – mruknął Willi. – Ja ci pokażę! Tylko nażreć się chcesz? A kogo pan komendant będzie obijał? Może wolisz kąpiel gazową – to proszę, u nas to raz-dwa.

Kominek przyglądał mu się badawczo. Kpi z niego czy z komendanta? Chyba jedno i drugie.

– Nie mogę trenować, Willi. Mam za mało sił. Muszę przytyć.

– Jak uważasz. Ale pan komendant musi mieć kogo bić.

– Spokojna głowa, Willi.

– Mów: „panie Willi”... Nie daj się zbyt szybko trafić, bo w ten sposób komendant nie uzyska formy.

– Mam nadzieję, że tym razem będzie to trwało dłużej.

– O właśnie. To-to! Ile wytrzymasz?

– Postaram się ze dwie rundy.

– Postawię na ciebie 10 marek.

Kominek trzymał się ściśle treningowego planu Węzłaka. Po dwóch dniach jego nogi rozluźniły się, twarz ożywiła, policzki z lekka wypełniły. Trzeciego dnia „tuczenia” gimnastyka trwała nieco dłużej. Minuta walki z cieniem zmęczyła go porządnie. Odsapnąwszy, wziął się do objiania gruszki. Postanowił robić to do zmęczenia i okazało się, że zabrało mu to prawie rundę. A więc czuje się o wiele lepiej. Potem dwie minuty skakanki, całkowicie nieudanej.

Kraft przyglądał się temu treningowi, udzielał nawet Polakowi wskazówek.

Nazajutrz Kominek powtórzył dokładnie wczorajszą porcję. Przed wieczorem do baraku treningowego, w którym Polak i Willi już czekali, przyszli lekarze, Helga i oczywiście sam Kraft.

Mistrz Niemiec zbliżył się do Polaka i pomacał mu ramiona.

– Przytyłeś. Willi, zważ go!

Kominkowi przybyło sześć kilo, sto pięćdziesiąt gramów.

– Znakomicie. On jest już czymś w rodzaju człowieka – cieszył się Kraft.

Helga zapytała:

– To chyba długo nie potrwa, Walt? Czuję się nieszczególnie.

– Najwyżej jedną rundę.

Willi wtrącił pośpiesznie:

– Niewątpliwie, droga pani. Ale żeby było ciekawiej... warto by się zabawić. Postawię na to, że ten przeklęty Polak przetrzyma dwie rundy...

– Ile stawiasz, Willi? – zapytała Helga.

– Dziesięć marek w zamian za wolny dzień. Nie mam kobiety na miejscu, panie majorze.

– Świntuch jesteście, Willi – rzekł Kraft. – Dobrze, przyjmij zakład, Helga.

Kraft od razu ruszył na przeciwnika. Poprzednie zwycięstwo nie dało mu satysfakcji. Znokautować na wpół żywego człowieka to niewielka sztuka. Ten zaś, bądź co bądź, trochę się rusza i już coś umie... A więc macajmy go lewą.

Kominek cofnął się pod naporem lewej Krafta. Od czasu do czasu wylatywała prawa mistrza i wówczas Polak starał się lekkim zwrotem tułowia uniknąć ciosu i pozbawić przeciwnika równowagi. Raz udało mu się to znakomicie. Mógł wtedy trzasnąć go mocno, ale powstrzymał się. „Kraft odpowie gradem ciosów, przełamie mi gardę – i leżę. Spokój, tylko spokój. Węzłak miał rację: mistrz sygnalizuje ciosy. Może nie jaskrawo, ale dla mojego oka wystarczy. Oto idzie bomba z lewej. Łapiemy na rękawicę. Prawa spada jak grzmot. Uskok!”

Kraft znów się zachwiał. Teraz można go trzepnąć! Ale nie, spokój. Zda się, że ktoś zaklaskał. Chyba ten, który krzyczał wtedy „brawo”. Kiedy ta

runda się skończy? Och, trafił mnie. Tylko nie upaść!... Zdaje się, że go równocześnie skontrowałem, bo nie poszedł za ciosem. Koniec rundy.

Przydałby mu się sekundant. Jest zmęczony, warto by się powachlować, wypłukać usta. Kraft stoi sobie jak gdyby nigdy nic, rozmawia z Helgą. Naturalnie, rzuci się teraz na niego jak zwierz. Założył się przecież! Ale tę rundę Kominek musi przetrzymać. Jeśli przetrzyma, zostanie na długo sparring-partnerem mistrza – życie uratowane.

Stało się tak, jak przewidywał. Kraft z miejsca wypuścił dwie bomby z obu rąk. Trafiły Polaka w łokcie, ale sprawiły ogromny ból. Kominek cofnął się. Kraft poszedł za nim. Znowu dwa ciosy z obu rąk. Znowu Kominek cofa się o krok. Ale za nim jest już tylko ściana. Kraft bije zamachowym prawym, Kominek daje nura pod jego rękawice, Kraft chwije się na nogach, leci na ścianę. Teraz! Teraz można go rąbnąć w tę piękną maskę – za tamtych pięciu – za siebie, za, za, za... Upadłby twarzą na ścianę, rozkrwawiłby nos, a ja go raz jeszcze! I jeszcze! Spokój, spokój, nie dajmy się ponosić marzeniom.

Znowu walka toczyła się na środku sali. Kraft napierał, Polak rozpaczliwie unikał jego ciosów, w pewnej chwili zanurkował mu pod rękawicą i wszedł w zwarcie. Przykleił się do Krafta tak, że wyczuł zapach jego potu. Przytrzymał go łokciami. „Teraz mógłbym go...” Co by mógł! Nic! Jest przy nim niby mucha przy słoniu. Dotykał przedramieniem muskularnych pleców Krafta, wychudłą piersią przywarł do potężnej, znakomicie umięśnionej klatki piersiowej tamtego. Coś mu to przypominało. Coś przyjemnego, coś, za czym tęsknił. Ach, już wiedział, wuja Stefana. Jako dziecko stawał bosymi nogami na jego klatce piersiowej, też takiej szerokiej i owłosionej, a potem wuj Stefan wolno, wolniutko podnosił go na rękach w górę.

– Break! – krzyknął sędziujący lekarz.

Odkoczyli od siebie. Janusz zająztał Kratowi w oczy. Zimne, bezlitosne oczy zawodowca. „Wuj Stefan!” Niech go diabli! Przyjemnie byłoby mu wsolić! Ale to as. I zarazem pan życia i śmierci. Och, przetrzymać tę rundę do końca i będę miał dosyć satysfakcji.

Jak z chmur spadła na niego bomba z prawej. Zadzwońło w uszach. Rzucił się na deski. Nie upadł, ale właśnie rzucił się, żeby uniknąć następnego ciosu, który by go wykończył. Usłyszał:

– *Eins...*

A więc w porządku: słyszy liczenie, to znaczy, że nie stracił przytomności. Teraz będzie „zwei”.



– Zwo...

„Zwo? Dlaczego „zwo”? Przymrużył oczy, udając, że ma przymglony wzrok. „Drei” – leżał spokojnie. Na „osiem” poderwał się i stanął w pozycji. Kraft skoczył na niego. Kominek bronił się rozpaczliwie. Byle dotrzeć. Byle dotrzeć. Koniec rundy zastał go na deskach.

Dźwignął się z nich niemal uśmiechnięty. Spojrzał na Krafta: naczelnik też był zadowolony. Zachowywał się bardzo łaskawie.

– Wygrałeś zakład, Willi – powiedział. – Kominek, dlaczegoś nie zadał ciosu, kiedy leciałem na ścianę?

– Nie zorientowałem się.

– Trzy razy nabrałeś mnie na uskoki. Byłem zbyt pewny siebie, dlatego ci się to udało. Więcej się to nie powtórzy. A w zwarciu walczysz nieczysto, trzy-masz. Panie doktorze, możemy zacząć następną rundę?

– Jeszcze dwanaście sekund.

„Nie będę z tobą walczył ani o sekundę dłużej, niż muszę” – postanowił Kominek i pomyślał, że trzeba wystrzegać się silnych ciosów z prawej. Za to pierwszy lewy sierp Krafta przyjął na twarz i natychmiast upadł.

Sędzia liczył do dziesięciu. Willi podszedł, żeby podźwignąć Kominka. Usadził go na ławie.

– Żyjesz? – spytał Kraft zadowolony.

– Tak jest.

– To była niezła walka – pochwalił Kraft. – Chociaż ten ostatni cios nie był najmocniejszy.

– Widocznie trafił na „punkt”.

– Był precyzyjny. Precyzja – to grunt.

Willi dał mu w swej komórce kawałek czekolady.

– Dziękuję ci, stary. Wyświadczyłeś mi przysługę. Znam jedną niezłą dziewczuchę, w Kluczborku, bierze niedrogo. Teraz będę mógł ją odwiedzić. Będę ci odtąd wierzył jak rachmistrzowi Pana Boga. Następnym razem stawiam na trzy rundy.

Życie Kominka nabrało odtąd pewnej regularności. Dwa dni treningu indywidualnego, na trzeci dzień sparring z Kraftem. W zasadzie Kominek postawił sobie za zadanie przetrzymywać trzy rundy. W czwartej chwycił jakiś słabszy cios Krafta i kładł się do dziesięciu. „Oto co taki Polak potrafi – mówił zadowolony Kraft. – W ciągu trzech rund jest jeszcze bokserem, w czwartej – szmatą”.

Ale bywało i inaczej. Zdarzało się, szczególnie w pierwszych walkach, że cios Krafta zwała Kominka z nóg w drugiej lub trzeciej rundzie. Początkowo Kraft był z tego dumny, później kazał w takich wypadkach cucić Polaka i po piętnastominutowej przerwie podjąć walkę. Niech nie zapomina, że jest tylko zawodowym sparring-partnerem, i to dobrze płatnym: całym życiem.

Forma Krafta bowiem też zwyżkowała. Nie bił już teraz tak zamachowo jak w pierwszych walkach. Czaił się do ciosu, lewa ręka pracowała precyzyjnie, prawa wylatywała jak piorun. A jednak po którymś tam sparringu Janusz wyczuł, że niepotrzebnie się kładzie. Walka nie musiała się skończyć nokautem. Przewyższał prawdopodobnie Krafta refleksem, szybkością i wyczuciem dystansu. Siła ciosu też wracała. Na pewno walczył nie gorzej niż przed wojną. Poza tym cechowało go coś, o czym dawny Kominek nie mógł marzyć; przekonanie, że ta walka to jest w s z y s t k o, absolutnie wszystko. Poza nią nie ma życia.

Poza walką była tylko śmierć. Szary, zabłocony obóz. Komora gazowa i krematorium. Włóczące nogami szkielety ludzkie. Ich ciężkie oddechy, otępiałe oczy, gorączkowy szep. Podczas gdy on robił przysiady, ćwiczył skakanekę, objął gruszkę, sparował z Kraftem, przekomarzał się z Willim, słuchał śmiechu Helgi i jej nieprzyzwoitych żartów – w obozie toczyło się wszystko n o r m a l n i e. Bito, głodzono, poniewierano, duszono jak dawniej. Krzyk oprawców nadal wstrząsał powietrzem. Przez kominy krematoryjne wciąż ulatywał dym o mdlącym zapachu.

Stosunek współwzięniów do boksera zmienił się. Pogodzili się z tym, że jeden z nich jest wybrańcem bogów, jada lepiej niż inni, nie pracuje, nie chodzi na apele. Zaczęli się interesować jego postępami. Czy naprawdę bije się z Niemcem? Z samym komendantem? Więc naprawdę może go uderzyć – tak po prostu trzasnąć w mordę, żeby łajdak się wykopyrtnął? Czemuż go nie znokautuje? Mistrz Europy – tak, no i cóż z tego? Gdybym ja... gdybym tylko mógł... nic by go nie uratowało, tego łotra szwaba, żadne mistrzostwo Europy!

Wieczorami, leżąc obok siebie na pryczy, Janusz i Węźlak omawiali zagadnienia techniki i taktyki.

– Czy wiesz, że Kraft miał złamane żebro? – mówił Węźlak. – To robota Schmelinga. Zapamiętaj to sobie: z prawej strony. I jeszcze jedno: jego szczęką jest dosyć miękka. Louis wykończył go dwoma ciosami – właśnie na szczękę.

– Podejmuję się go trafić.

– Nie śpiesz się. Wolno ci go najwyżej czasem zahaczyć, niech nabierze szacunku.

– Willi powiedział mi: „Ty uważaj, Janos. Jeśli go rzucisz na deski, odda cię Holderowi. To świnia”.

– Mówiłem ci: nie lubi być bity. Nigdy nic dobrego nie powiedział o żadnym swoim zwycięzcy. Gdy dostaje cios w żołądek, symuluje faul. Wygrał w ten sposób kilka walk.

– A więc nie wolno mi pokazać, co potrafię?

– Nie wolno. Zapomnij o tym.

Któregoś wieczoru Kominek powiedział Wężlakowi:

– Trzasnąłem go w szczękę.

– No?

– Zachwiał się. Gdybym poprawił!... Ledwie się pohamował. Dostarczyłem tylko i złapałem go w klinz. Staliśmy tak, trzymając się w objęciach, jakbyśmy się nie wiem jak kochali. Czułem, że głowa zwisa mu na moje ramiona, a nogi się pod nim uginają. Dopiero kiedy podniósł głowę, puściłem go.

– Aha... dobrze, dobrze... – powtarzał Wężlak.

– Wie pan co? – rzekł po namyśle Kominek. – To trwało chyba dłużej niż do dziesięciu.

– A więc wygrałeś przez nokaut – zachrypiał Wężlak i dodał: – Strzeż się, Janusz.

– Ja już nie mogę – powiedział Kominek z udręką w głosie. – Kiedy widzę tę jego zadowoloną gębę... A przecież nie jestem gorszy od niego! On chce mieć ze mnie worek treningowy. Ale ja już nie jestem workiem. Czasami wydaje mi się, że gdybym chciał, załatwiłbym się z nim szybko.

– Janusz – szepnął gorąco Wężlak. – To nieprawda. Pamiętaj, że to nieprawda. On się teraz będzie lepiej krył. Nie wiesz jeszcze, co to jest kontra Krafta. On musi o tym twoim ciosie zapomnieć, rozumiesz? Inaczej sprowokuje cię do ataku. I albo leżysz, albo... albo wygrasz – i co wtedy?

– Nie wiem. Ja już nie mogę.

– Niech on atakuje. Tylko on. Zawsze on. Niech zapomni o sztuce obrony. Niech myśli, że ma do czynienia z bokserem wyłącznie defensywnym, z bokserem, który nie umie zdobyć się na cios. Rozumiesz?

– Rozumiem. Chciałbym cię objąć, staruszk.

– Zrobisz to, jak stąd wyjdziemy. Zauważ też jedno: zdaje się, że zadając cios z prawej, Kraft ma zwyczaj opuszczać lewą. Może ci się to przydać do kontry.

– Ale kiedy?

– Nie wiem. Jeśli nastąpi coś nieprzewidzianego. Może nigdy.

Innym razem Kominek zwierzył się Węźlakowi:

– Wie pan, brak mi kondycji. Walczyliśmy dziś sześć rund. Willi znowu zaroził dzień urlopu. Dzięki mnie ta dziewczyna z Kluczborka robi na nim majątek. W drugiej i trzeciej rundzie położyłem się na deskach, żeby sprawić Kraftowi przyjemność. Ale w szóstej... w szóstej naprawdę zabrakło mi pary. Serce – owszem, niczego sobie, ale nogi, a zwłaszcza płuca...

– Musisz biegać. Kilka kilometrów dziennie. Bez tego nie ma kondycji.

– Tak. Powiem Kraftowi.

Komendant obozu zgodził się.

– *Ja, ja, natürlich...* Ja też muszę. Stoczmy dziesięciorundową walkę, co?

– Tak jest, panie komendancie.

– No, więc proszę, wyjdź na dziedziniec i biegaj.

Kominek stropił się. Bąknął:

– *Aber, Herr Major...*

– Co?

– Nie mogę biegać na dziedzińcu.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony Kraft.

– Nie mogę – powtórzył Polak. Jego stanowisko zaczynało być interesujące. – Ten dziedziniec...

Kraft wzruszył ramionami.

– Błoto? Bieżni ci nie wybuduję.

– Nie, nie to. Tylko więźniowie. To by było... niesportowe. Tak, niesportowe.

Kraft załapał oczyma. Co mówisz, człowieku? – Sport? Od kilku lat, od chwili gdy włożył mundur spadochroniarza, nie przechodziło mu przez myśl to słowo: „sport”. Myślał: „boks”. Albo: „mecz”. Albo: „mistrzostwo” lub „pieniądze”. Sport! Dziwny człowiek z tego Polaka. Ależ tak, przecież my z nim tu uprawiamy sport – pośrodku tego świństwa, tej nędzy – sport! On ma rację, ten ciemny Polak, biegać na oczach ich wszystkich...

– *Ja, ja... Sport. Schweinerei!* – zaklął. – W porządku. Jutro pojedziemy sobie za obóz.

Kraft i Kominek biegali truchcikiem obok siebie lub jeden za drugim, wzdłuż lasu albo obok ściernisk (bo była już jesień), za nimi zaś sunęło auto, w którym przy kierownicy siedział Willi, koło niego Helga, a z tyłu esesman z odbezpieczonym pistoletem automatycznym. Gdyby ten Polak ośmielił się uciekać, nie zrobiłby nawet pięciu kroków. Samochód skakał po wybojach, a Willi nie wiadomo dlaczego, prawdopodobnie dla rozrywki, od czasu do czasu trąbił.

Kominek odwracał się: w oddali za szarą mgłą widniały wieżyczki wartownice obozu. Przyśpieszał kroku, mijał Krafta, obejmował prowadzenie. Esesman zaczynał się niespokojnie wiercić, a Willi trąbił, trąbił dla kawału.

Wycieczki te odbywały się cztery razy w tygodniu w ciągu niespełna miesiąca. W międzyczasie pięściarze odbyli kilka lekkich sparringów. Jak zwykle, Kominek nie zadawał prawie ciosów, z coraz większą za to łatwością unikał uderzeń przeciwnika. Czuł się lepszy, wyraźnie lepszy od swego starzejącego się partnera. Przede wszystkim – o tuzin lat młodszy! Rzecz ciekawa: następstwem długodystansowych biegów było zwiększenie u obu pięściarzy wytrzymałości, ale Kraft utracił przy tym wyraźnie szybkość. Wzrosła może jego odporność na ciosy, prawdopodobnie także ich siła, ale równocześnie walczył jakby ciężiej, nie przypominał sprintera, to był boks maratończyka.

Sam Kraft, dla którego ten stan był od lat normalny (większość walk rozstrzygał po ósmej rundzie), nie zwracał na to uwagi, a może i wcale tego nie zauważał. Zachwycony tym, że jest sobą, nie zajmował się rozwojem swego przeciwnika, zresztą szybkość i zwrotność Polaka była mu potrzebna do sparringu, a siłą jego ciosu nie interesował się. Polak nie umiał czy też nie lubił bić. Któregoś dnia Kraft odezwał się do Kominka:

– *Also, Mensch*, możemy sobie pozwolić na dziesięciorundową walkę. Jutro.

– Tak jest, panie komendancie.

– Zaprosiłem kilku przyjaciół z Bytomia. Mam nadzieję, że nie zrobisz mi wstydu.

– Postaram się, panie komendancie.

Willi zapytał potem Kominka:

– Co, Janos, ile wytrzymasz?

Kominek uśmiechnął się.

– A ile byś chciał, Willi?

– Mów: „panie Willi”. Wszystkie dziesięć! Mam już inną dziewczynę, wiesz? Całkiem darmowa. Miłość, bracie. Więc co?

– Zaryzykuję.

– A na deski go nie rzucisz?

– Tego nie można przewidzieć.

– No, no, Janos... Gdybyś tylko chciał...

Kominek nic na to nie odrzekł. Wieczorem rozmawiał z Węzłakiem. Stary był bardziej osowiały niż zwykle.

– Męczą mnie czyraki – powiedział. – Praca sprawia mi ból. Dostałem dziś harapem po grzbiecie. Te łotry nie lubią się patyczkować. Gdybym mógł kilka dni poleżeć... Ale nie mam przecież czterdziestu stopni gorączki.

– Powiem komendantowi.

– Nie, nie.

– Powiem. Ostatecznie nigdy go o nic nie prosiłem. Nie chcę, żeby cię bili – powiedział zdławionym głosem Kominek. – Nie chcę, mój stary...

I pomyślał: „Gdyby nie ty, nie wiem, czy dałbym radę. Jesteś moim kibicem, trenerem i przyjacielem. Dałeś mi możliwość rozważyć rozsądnie każdy szczegół postępowania. Wyrwałeś mnie z gubiącej samotności”. Ale nie powiedział tego. Takich słów się nie mówi. Takich słów trudno też słuchać.

Można powiedzieć najwyżej tyle:

– Pokaż mi te czyraki.

I dotykać ich współczującymi palcami. Najgorsze są te na kolanach i w pachwinie. Utrudniają poruszanie się.

– To z przeziębienia – stwierdził Kominek.

– Tak, z przeziębienia. Myślę, Januszu, że powinieneś zastosować jutro aktywną obronę. Dziesięć rund – to dużo. Możesz go nawet posłać na deski.

– Będą jego przyjaciele.

– A więc on musi wygrać. I powinieneś powąchać podłogę.

Kominek powiedział zapalczywie:

– Czy wiesz, stary, że jestem lepszym bokserem? Podjąłbym się go znokautować do trzech rund. Wierzysz mi?

Węźlak nie odpowiedział.

– Nie wierzysz. Szkoda, że nie widziałeś naszych walk. Ja się z nim czasem bawię. Jestem w piekielnej formie. Myślę, że w takiej formie mógłbym walczyć z samym Louisem. Ja przecież hamuję ciosy. Widzę: luka jest, można rąbnąć – i nie wykorzystuję tego. Jego ciosy w ogóle do mnie nie docierają. Przez dziesięć rund udawać patałacha – to trochę za dużo.

Rano obudził go więzień – młody chłopiec o krótkich, jasnych, szorstkich jak szczecina włosach na guzowatej głowie (wszyscy tu mieli nagie, guzowate głowy). Twarz miał ziemistą, a oczy nieproporcjonalnie duże. (Wszyscy mieli ziemiste twarze i oczy niesamowicie duże).

Kominek zlął z pryczy.

– Czego chcesz?

– Ma pan kawałek chleba? – spytał chłopiec. Kominek dał mu chleba i czekał. Tamtemu nie chodziło chyba tylko o to. Wszelkie rozmowy z Kominkiem zaczynano od chleba, do tego się już przyzwyczaił.

Padło następne pytanie:

– Walczy z nim pan dzisiaj?

– Tak. Skąd wiesz?

– Wiem. Tu się wszystko wie. Pan go uderzy, prawda?

Janusz rozłożył ręce.

– Niech pan go uderzy. Widzi pan, co on tu z ludźmi robi? Niech go pan mocno uderzy. Niech poczuje.

Odchodząc, chłopiec uśmiechnął się.

– Dziękuję panu za chleb. Niech pan nie zapomni go uderzyć.

Kominek szedł na spotkanie wzburzony. „Czego on ode mnie chce? No i co, jeśli ja tamtego uderzę? Najwyżej go rozwścieczę. Nie jestem mścicielem wszystkich krzywd obozowych. Nie, u diabła! Ratuję tylko swoje życie. Mam chyba prawo...”.

Przemknął chyłkiem przez zablocony dziedziniec. W baraku treningowym wyglądało dziś uroczyściej niż zwykle. Było kilka osób więcej, i to na ogół dobrze wypasionych i hałaśliwych. Wszyscy w mundurach. U sufitu świeciło kilka mocnych lamp. Poza tym – czujny, stąpający na palcach Holder. Sędziujący lekarz uzbroidł się w mały talerz cynowy na sznurku i młoteczek – kawalarzowi zachciało się rozpocząć i kończyć rundę gongiem.

Kiedy Kominek się przebrał, Kraft przedstawił go towarzystwu:

– Panie i panowie! Mój znakomity przeciwnik, mistrz Polski i wszystkich obozów, więzień Kominek. Sądzę, panowie, że jego talent i końcówka nazwiska – „eck” świadczyłyby o pochodzeniu niemieckim.

Helga nie lubiła tych napadów krasomówstwa Waltera. Zawsze coś powie niestosownego. Można by się było na przykład przyczepić do wzmianki o „mistrzu Polski”, skoro żadnej Polski nie ma, a jest tylko Generalgouvernement. Poza tym nie uszło jej uwagi również i to, że Walter był podenerwowany.

Kominek ukłonił się publiczności. Willi zbliżył się do niego, sprawdzić raz jeszcze rękawice.

– Postawiłem sto marek na dziesięć rund – powiedział. – Sto przeciw dwustu. No jak?

– Zobaczymy.

– Czuję pieniądze w kieszeni – zapewnił go Willi.

Lekarz krzyknął:

– Ring wolny, pierwsze starcie!

Zagrzmiał gong.

Kominek ruszył do przodu. Wypuścił lewą prostą, przebił nią nieszczelną gardę Krafta, odrzucił zdumionego Krafta do tyłu. Wystarczyło pójść za ciosem... I zaraz się opamiętał „Człowieku, nie szalej. To o n ma wygrać”.

Przybrał pozycję wyczekującą. Kraft zbliżył się. Zwodził przez chwilę Polaka kołyszącymi ruchami przygarbionego ciała. Wyleciała lewa – wpadła na rękawicę, wyleciała prawa – wystarczyło dać pół kroku do tyłu. Jeszcze raz prawa Krafta; tym razem Kominek nie ruszył się, odchylił tylko lekko głowę. Dłonie świerzbiły go do kontry. Węzłak miał rację: zadając cios prawą, Kraft opuszczał lewą. Trwało to ułamek sekundy, ale można było władować.

Ale wygrać ma o n. Nie ma żadnej okazji, żadnych pokus. Trzeba nałożyć więzy na ręce, myśl i serce, zaprzeczać pięściami oczom. Jest niby pustelnik spętany ślubami. Nie istnieją dlań żadne uroki świata. Cała żarliwość jest zwrócona ku umartwianiu się. Wymaga to więcej uwagi i skupienia niż otwarta walka. Wymaga to gry. Przez pięć rund Kominek jest pięściarzem i aktorem, i dramaturgiem. Widzowie muszą coś mieć „za swoje pieniądze”.

Idzie do zwarcia, wpada w klincz, trzyma, próbuje iść do ataku, nie udaje się, znów się broni, łapie cios, kontruje i...

Kraft na deskach! Co u licha? Ach tak, Janusz nie wytrzymał, kropnął tak, że widzowie podskoczyli. Kominek usłyszał przeciągły gwizd jednego z lekarzy. Tego się nikt nie spodziewał. Polak bronił się dotąd doskonale, ale wydawał się niezdecydowany w ataku. No cóż, wyszła mu kontra, to się zdarza.

Na „siedem” Kraft gramoli się, staje na nogach, ale minę ma niewyraźną. Dlaczego Polak nie idzie do ataku! Kominek stoi ze zwieszoną głową: widocznie sam oberwał też tęgo.

Kiedy pięściarze podjęli walkę, zabrzmiał gong; skończyła się piąta runda. Kraft podszedł do Kominka.

– To była świetna kontra, człowieku – powiedział komendant. – Zbyt rzadko jej używasz.

Janusz uśmiechnął się z przymusem.

– Nie wychodzi.

– Za mało atakujesz. Moja obrona jest przez to do niczego. Potrzeba mi drugiego sparring-partnera, który by atakował.

Kominek drgnął.



– Spróbuję atakować, panie komendancie – zapewnił.

Przez całą następną rundę Kominek był w ofensywie. Widzowie muszą coś mieć za swoje pieniądze – i mieli. Zepchnął Krafta do obrony. Naturalnie, Kraft bronił się świetnie – przynajmniej wszystkim się tak wydawało. Publiczność była zachwycona zarówno zmianą postawy Polaka, jak i łatwością, z którą Kraft parował jego ataki. Dwie lewe proste dosięgły jednak szczęki komendanta, jak również kilka szerokich cepów prawą. Sam Kominek oberwał dwie potężne kontry, które wstrząsnęły nim porządnie. Widzowie szaleli.

W siódmej rundzie Janusz zaczął odczuwać zmęczenie. Tracił szybkość. Ręce nie nadążały już za okiem. A Kraft przeszedł do ataku. Janusz zdawał sobie sprawę, że szanse Krafta będą odtąd rosnąć. Dotychczas Kraft był bezwiednym uczestnikiem zabawy, teraz staje się równorzędnym uczestnikiem walki.

Kraft szedł naprzód, bił zamachowymi cepami, nietrudnymi do uniknięcia. Od czasu do czasu wgrzyzał się jednak prostą i ciosy te sprawiały Komin-kowi wiele kłopotu.

Widzowie wyli, klaskali, wybuchali śmiechem lub gwizdem. Kominek łowił jednym uchem te głosy. A więc jednak sądzą, że tamta kontra była przypadkowa? I tak myśli sam Kraft. Doskonale! Tym lepiej! Ale równocześnie ogarnęło go głupie, przewrotne pragnienie: pokazać im wszystkim, że jest lepszy. Nie mógł się oprzeć tej idiotycznej chęćce. Jest lepszy, jest wciąż lepszy, nawet teraz, kiedy nogi nie niosą go tak lekko jak w pierwszych rundach, kiedy pięść wylatuje z mniejszą szybkością, kiedy oko zachodzi mgłą zmęczenia.

Kraft zaatakował. Głupiec, znów opuścił na mgnienie lewą rękę. Masz!

Kraft zatoczył się do tyłu i upadł na jednego z widzów. Ten podniósł go, postawił. Mistrz stał na szeroko rozkraczonych nogach, z chwiejącą się głową. Janusz ocierał rękawicą pot z czoła. Boże, tamten już czterykroć, pięciokroć został znokautowany.

– *Komm! Komm!* – warknął Kraft. – Walcz.

Kominek zbliżył się i stanął w pozycji. W oczach Krafta dostrzegł niepokój. „Nie bój się, trupkarzu, sam jestem w strachu”. Janusz udał atak i wpadł w zwarcie. Klincz. Przez chwilę tak trwali, obejmując się ramionami jak Leszek i Mieszek. Janusz myślał: „Muszę mu się położyć, bo mnie drań zeźre”.

W ósmej rundzie Kraft pięknie trafił. Kominek padł na deski. Wstał przy „ósmiu”. Kraft był teraz wciąż w ataku. Polak bronił się z trudem. Zmęczenie pętało mu nogi. W dziewiątej rundzie ciężkie ciosy Krafta dwukrotnie

go zwały. Wstawał, bo nie chciał przegrać przez nokaut, którego nie było. „Dotrwam. Nie wykończy mnie”.

W dziesiątej rundzie – ostatniej – pozwalał sobie na otwartą walkę. Gdy tylko chwycił okazję, zadawał cios. Sam oberwał też niemało. Kraft miał lepszą kondycję, bił ciężkimi cepami, aż dudniło. Kominek przypuścił go na pół dystans, kilkakrotnie pomacał zadufanego przeciwnika lewą pięścią. Kraft obrabiał go teraz bezlitośnie. Lewa, prawa, lewa, prawa – bił na pół odkryty. Kominek pochylił się, zablokował, większość ciosów nie doszła do celu. I nagle – teraz! Rozkosz, jak iskra elektryczna, przebiegła wzdłuż nerwów do mdlejącej pięści. Cios był krótki, dynamiczny, w sam podbródek. Trzasnął sucho jak wystrzał.

– O, klasycznie! – wykrzyknął któryś z widzów.

Kraft odleciał o dwa metry i zwał się na podłogę.

Kominek stał przerażony. „Co ja narobiłem?”. Ale równocześnie nie mógł oprzeć się mściwemu zadowoleniu. A więc jest zawsze lepszy od tamtego. Nokautuje go, kiedy i jak chce. „Mógłbym go zmasakrować” – myślał, z trudem tłumiąc radość.

– *Drei* – liczył sędzia.

– Czas – szepnął doń Kominek.

– *Ja, ja, es ist schon Zeit...* – przyznał lekarz, nie spoglądając na zegarek. Uderzył w gong. Willi podbiegł, podniósł komendanta.

Kraft miał otwarte oczy. Helga podała mu sole rzeźwiące. Kraft uśmiechnął się.

– Gratuluję, Kominek. Wyrabiasz sobie cios. Nie myśl, że wygrałbyś przez nokaut. Chciałem odpocząć na deskach do ośmiu. Kto wygrał spotkanie, doktorze?

– Ma pan siedem rund wygranych, panie komendancie – odpowiedział sędzia, zaglądając do kartki. – Trzy są dla Kominka.

– To był wielki mecz – zawyrokował Kraft i poszedł pod prysznic.

Kiedy wrócił – wyświeżony, wypoczęty, bez szczególnych śladów walki na twarzy – Janusz postanowił powiedzieć mu o Wężlaku.

– Panie komendancie, mam pewną prośbę.

– Jeśli tylko nie jest sprzeczna z prawem...

– Chodzi o jednego więźnia, mego przyjaciela. Zależy mi na nim bardzo.

– Jeśli ci bardzo zależy, zrobię wszystko, co zechcesz. Kapitanie Holder, proszę tu!

Holder podszedł.

– Nazywa się Wężlak – mówił Kominek. – Chodzi o to, żeby poleżał przez pewien czas w szpitalu. Ma czyraki, nie może pracować.

– A więc zrobione – rzekł Kraft.

Holder nagle sobie coś przypomniał.

– Czyraki? *Wenschlag*? Nie potrzeba.

– Ależ...

– Nie potrzeba – powtórzył, uśmiechając się, Holder. I zwrócił się do Krafta: – To ten...

Kraft zrozumiał.

– Aha. Zajęliśmy się już nim, Kominek. Czy masz coś jeszcze?

– Dziękuję, panie komendancie, to wszystko.

Wracał do bloku jak na skrzydłach. Ale się stary ucieszył! Powie mu: „Wężlak, mógłbym go zmasakrować, wierzysz? Bawię się z nim jak kot z myszką”. Pomimo zmęczenia czuł się silny, młody, prawie szczęśliwy. Teraz tylko objąć tego kochanego staruszka, przycisnąć do serca: „Stary, mogę cię uradować. Masz ze mnie pociechę”.

W drzwiach baraku natknął się na chłopca, z którym rozmawiał dziś rano. Chłopiec chwycił go za rękę i Kominek musiał się zatrzymać.

– Wsolił mu pan? – spytał namiętnie chłopiec.

Kominek obejrzał się. Nie, nikt nie mógł słyszeć. Gdzie Wężlak? Nie wiadać go.

– Tak – powiedział z dumą chłopcu. – Pokazałem mu, gdzie raki zimują.

– Pan go uderzył?

– Trzy razy był na deskach.

Chłopiec zaniemówił z przejęcia.

– Ja... Dziękuję panu, panie Kominek.

Bokser, uśmiechnięty, wzruszony, podszedł do swojej pryczy. Miejsce Wężlaka było puste. Przez chwilę nie mógł zrozumieć, co to znaczy, potem domyślił się: wzięli go do szpitala. Ale kiedy odwrócił się, zobaczył wpatrzony w siebie ogromne oczy chłopca. I tyle w nich było smutku, tyle tragicznego milczenia, że ogarnął go niepokój.

– Wężlak w szpitalu? – spytał niepewnie.

– Nie.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Wiem. Zabili go.

– Zabi...? Tyś to widział?

– Widziałem. Przez te czyraki. Nie mógł ustać na apelu. Zastrzelili go.

Siły opuściły Janusza. Usiadł na dolnej pryczy. Ktoś warknął: „Uważaj pan na moje nogi”. Kominek nie słyszał. Zwiesił głowę. Czuł olów w barkach. Och, naharował się dziś. A stary nigdy go w takiej walce nie widział, nigdy.

Chłopiec nie odrywał od niego oczu. Kominek podniósł głowę i szepnął:

– Wiesz, ja go mogłem zmasakrować, tego całego Krafta. Bawiłem się z nim jak kot z myszą. Węzłak by się ucieszył. On mi kładł rozum do głowy, wiesz?

Przypomniał sobie, że Kraft powiedział, że się nim „zajęli”. Holder się nawet uśmiechnął. I Kraft też, Kraft też się uśmiechnął!

„Zabiję go! Zmasakruję przy pierwszej okazji!”. Obsypie go gradem ciosów, zmietosi mu tę cacaną gębę, rozkrwawi, rozkrwawi, roz... Bić! Bić. A potem – wszystko jedno! Jak długo można to znosić? Ten dym, smród, ten chichot nad człowiekiem, nad sercem, myślą, uczuciem! Przetwarzają nas w jakieś apokaliptyczne bydlęta. „Żyjemy, pracujemy, idziemy pod nóż. W powietrzu unoszą się wyzwiska. Depcą nas. Nasiąkamy wzdargą dla samych siebie. Organizm wykonuje tylko ostateczne funkcje: moczyć się i śmierdzi”.

Bić! Bić! Dlaczego czekać okazji? Jutro! Im prędzej, tym lepiej. Póki gniew – ostatnie ludzkie uczucie – rozszarpuje pierś! Jutro! Zmusi go do walki, tego podłego tchórza.

Kominek wstał.

– Idę spać – powiedział do chłopca. – Muszę się porządnie wyspać.

Wszedł na pryczę. Ale chłopiec wciąż stał.

– Czego? – szarpnął się Kominek.

– Ja chciałbym tutaj leżeć. Na miejscu Węzłaka.

Nie, nie zostaliśmy wyprani z wszystkich uczuć. Coś się tam jeszcze kołaczę pod skórą. Wzruszenie potrafi jeszcze ścisnąć gardło, zwilżyć oczy.

– Dobrze. – Dlaczego głos miał taki twardy? – Gramol się.

Deski pryczy zatrzeszczały.

– I ani słowa – dodał jeszcze Kominek. – Ja muszę spać.

I spał rzeczywiście. Kiedy z rana się obudził, to go najbardziej zdumiało: spał całą noc! Prycze obok niego opustoszały, było już grubo po apelu, karki gięły się już w niewolniczej robocie, pochyłały pod ciosami obelg. On leżał tu sam – wypoczęty, świeży, wyspany – jakby żadna zmora go nie trapiła, jakby nie było tamtej śmierci. Prawda, że miał w kościach dziesięć rund walki. Ale spał nie z tego powodu, ale dlatego, że sobie powiedział, że m u s i spać.

Zeskoczył na ziemię. Wyprostował się z przysiadu, jakby go wyrzuciła w powietrze sprężyna. A więc czuje się nie najgorzej po wczorajszej młócce i jeśli tylko uda mu się sprowokować Krafta do walki, to zemści się na jego bandyckiej gębie. Wystarczy mu na to trzy rundy. Ułożył już sobie, w jaki sposób zmusi go do walki. Byle Kraft się zgodził.

Do baraku treningowego wszedł z kamiennym wyrazem twarzy.

– Serwus, Willi, będę trenował – oświadczył pucybutowi.

– Aha, mistrz przyszedł. Szczeniaku, ile razy będę ci powtarzał, żebyś mówił „panie Willi”? Zapominasz, że masz do czynienia z wyższą rasą. Jakim prawem wczoraj niższa rasa sprąła wyższej gębę? Hamuj się, bo piec dymi! Coś taki milczący? Nie możesz przeboleć, żeś go trafił?

– Jak się czuje komendant?

– O, jest dość zadowolony. Uważa, że wygrał po stoczeniu zacieklej, męskiej walki. W takiej formie może zarobić mnóstwo marek.

– Willi – szepnął Kominek – chciałbym z nim dziś sparrować.

– Nie wiem, czy zechce. Jest trochę zmęczony.

– Powiedz mu, że ja trenuję. Tylko tyle.

– Dobrze, zrobi się.

– I szepnij lekarzom, żeby przyszli.

– Dobrze, ale po co?

Kominek przez chwilę się wahał. Wreszcie postanowił: nie, nie powie! Wzruszył obojętnie ramionami.

– Po takim ciężkim meczu dobrze jest na drugi dzień posparrować kilka rund. Dla rozruszania kości.

– A tak, możliwe – potwierdził obojętnie Willi i zniknął.

Kominek rozpoczął trening. Gimnastyka, skakanka, walka z cieniem. Co chwila przerywał, nasłuchując: Idzie? Jeszcze nie. Nagle kroki. On! Sto! w drzwiach. Zabójco! „Zająłeś się” Węźlakiem! Czekaj, ja się tobą zajmę!

Stał naprzeciw Krafta blady, spokojny na zewnątrz. Pięści krzyczały.

– Trenujesz? – spytał miękkiem barytonem Kraft. Spoza jego pleców wyjrzała Helga.

– Tak, panie komendancie. – W skroniach zapulsowało boleśnie. – Uwagam, że to rzecz pożyteczna porozruszać sobie po wczorajszej walce kości.

– Tak sądzisz?

– Oczywiście, panie komendancie. Czy nie ma pan ochoty posparrować?

Chwila wyczekiwania. Potem:

– Prawdę mówiąc – nie.

– Komu by się chciało – rzekł wesoło Kominek. – Ale miałem trenera, on już nie żyje („tyś go zabił! ty! twój podły obóz!”), otóż ten trener twierdził, że po ciężkiej walce nie wolno nazajutrz rzucać rękawic. Trzy rundy nigdy nie zaszkodzą, panie komendancie.

– Co o tym sądzisz, Helga? – spytał Kraft. – Jest w tym jakaś racja. Zdaje się, że sercu należy dać pewną porcję pracy.

– Trzy rundy – wtrąca szybko Kominek – to nie byłoby za dużo.

Kraft uśmiechnął się.

– Za dużo, Kominek. Nie należy przesadzać.

– Dwie! – wypalił Polak.

– Dwie? Aleś gorliwy. Masz ochotę zostać mistrzem świata? Wystarczy jedna runda, Kominek.

„Jedna runda! Podczas tej rundy – jednej rundy! – moje pięści powiedzą ci wszystko, co o tobie myślę”. O, i lekarze są. Znakomicie, mamy więc publiczność.

Zbliżył się Willi.

– Spokojny jesteś, Janusz?

– Jak głaz.

– Kolana ci drżą – zauważył Willi cicho.

Kominek zrobił przysiad. Raz, drugi. Zacisnął wargi do krwi. Spokój! Spokój! Gorączka jest niepotrzebna. Niepotrzebny nawet gniew. Wystarczy sama sztuka bokserska. Oko i pięść.

Kraft zjawił się gotowy do walki. Powiedział, kłaniając się wytwornie lekarzom:

– Panowie, tylko jedna runda. Serce musi przetoczyć pewną porcję krwi. Wy się zresztą na tym lepiej rozumiecie.

Lekarz-sędzia skinął głową. Tak, słusznie. Zakomenderował:

– A więc – uwaga!

Spojrzał na zegarek, wyczekał kilka sekund i uderzył w gong. Przez chwilę w powietrzu wisiał lśniący dźwięk mosiądzu.

Kraft ruszył jak zwykle do przodu. Próbował dosięgnąć lewą ręką twarzy Kominka, ale odepchnięty do tyłu, poleciał na ścianę. Zanim zdołał przyjąć postawę obronną, dwa ciosy Kominka spadły na jego szczękę. Zdołał zanurkować pod pięścią Polaka. Kominek zrobił błyskawiczny zwrot: znów go dopadł. Przez chwilę okładali się pięściami z półdystansu. Ale Polak bił jak opętany.

Nigdy go jeszcze takim nie widziano. Znow jego lewa odrzuciła komendanta. Poszedł natychmiast za ciosem. Krótki prawy hak zakołysał Kraftem. Lewy sierp – ciężki, huczący – wybuchnął na policzku komendanta. Niemiec zwinął się i upadł.

Kominek odskoczył. Z natężeniem przypatrywał się raczkującemu Kraftowi. „Niech wstanie, niech się podniesie, niech walczy. Chcę go jeszcze bić, chcę go jeszcze osiągnąć”.

Wstał.

Kominek omal nie krzyknął. Dwa ciosy natrafiły na staranny blok mistrza. Kraft zaczął uważniej się bronić. Stosował uniki, wypuszczał kontry. Och, stary lis! Widzowie przyglądali się młócce z zapartym tchem. Czegós takiego jeszcze tu nie było. Ten Polak szaleje! Coś mu się stało! Cokolwiek się stało – jest lepszy od Krafta. Prawdziwy mistrz!

Helga ścisnęła kurczowo za rękę jednego z lekarzy.

– On go zabije... Przerwijcie mecz...

– Kto kogo zabije? – spytał lekarz. – Tego Polaka czeka piec.

Nie pomogły uniki – Kominek bił. Przypierał Krafta do ściany i tu walił w niego seriami. Kraft miał twarz zmasakrowaną: pod oczami wyskoczyły puchliny, policzek był rozcięty, nos krwawił.

Znow upadł na deski.

Sędzia przyskoczył do niego.

– Przerывamy walkę?

Kraft klęczał i patrzył na niego nieprzytomnie.

– Widzi mnie pan? – spytał sędzia.

– Ja, ja... widzę...

– Przerывamy walkę?

Kraft zrozumiał. A więc ma przegrać przez nokaut? Zerwał się i stanął w pozycji obronnej.

– Nie! – wyrzucił z siebie. – Runda nie skończona. – I nagle krzyknął na lekarza: – To jest sport, doktorze! Sport!

Sport! Posyłać ludzi do pieca to dla ciebie też – sport! Kominek zbliżył się do Krafta. Chciał mu coś powiedzieć – krzyknąć, dlaczego go tak bije, niech wie, niech zrozumie, ale jego pięść była szybsza od myśli. Kraft nastawił rękawicę. Zwód ciała Kominka nastąpił prawie automatycznie. Kontra Krafta przeszła powietrze właśnie wówczas, gdy na jego szczęce wylądował cios z prawej. Drugi już groził z lewej. Kraft nie mógł się powstrzymać

przed odruchem samoobrony: zakrył twarz. Zanim zdołał krzyknąć, było już za późno: potężny cios w żołądek przełamał go na pół. Padał, czepiając się rozcapierzonymi palcami nie istniejących lin. Nie tracił przytomności. Leżał, nie mogąc złapać tchu, postękując.

Sędzia wyliczył go – nie bez zadowolenia, jak się wydawało Kominkowi – chłodno, rzeczowo wymawiając liczby. Potem oznajmił:

– Nokaut nastąpił po dwóch minutach dwudziestu sekundach walki.

Teraz dopiero Kominek zrozumiał, co się stało. To, że był najlepszym bokserem Europy, a może i świata, nie miało w tej chwili znaczenia. Jedyna myśl, która go zaprzętała, sprowadzała się do pytania „co dalej?”.

Co dalej? Zginie. Wszyscy tu giną. On jeden ginie – walcząc.

Chciał, żeby ta myśl dała mu pociechę. Ale nie dawała. Wygrał przecież – powinien żyć! Chwilami zaczynał żałować tego, co się stało. Czy nie lepiej byłoby leżeć tu na deskach, a potem widzieć zadowoloną minę Krafta? *Ja, ja, Mensch, gut, sehr gut* – mówiłby ten łotr, zadowolony ze zwycięstwa. Kominek poszedłby do baraku, do starego Węzłaka. „Wie pan, znów go zaczarowałem” – pochwaliby się przed Węzłakiem... Ale Węzłak nie żyje. Zabili go, bo nie potrafił ustać na baczność podczas apelu. Dobrze, że zbił mordę temu łotrowi! Niczego nie żałuje! Niczego!

Kraft siedział na krześle, wracał powoli do siebie. Jeden z lekarzy masował mu brzuch. Kraft mruczał:

– Cios był za niski... To podłość... Dziękuję – powiedział, wstając.

Odszukał wzrokiem Kominka. Polak stał już bez rękawic, patrzył na niego wyczekująco. Kraft podszedł i spoliczkował go. Kominek nie ruszył się z miejsca.

– Ty świnió! – ryknął Kraft. – Nauczę cię walczyć prawidłowo! Ty wszo obozowa! Uratowałem cię od śmierci! Bijesz poniżej pasa! Chcesz wygrać ze mną faulami?

Kominek zacisnęła pięści. Teraz uderzyć mu nie wolno – walka skończona. Jest znów więźniem, a tamten komendantem. Ale walka była – przed chwilą jeszcze była. „Zginę, ale mu to przypomnę!”

– Cios był prawidłowy – powiedział drżącym głosem Kominek.

– Milczeć!

– Cios był prawidłowy.

Wszyscy oczekiwali następnego policzka. Nie nastąpił. Kraft odwrócił się i powiedział:



– Kapitanie Holder!

– Na rozkaz.

– Zwracam panu więźnia. To bandyta. Nie mogę korzystać z jego usług.

Holder trzasnął obcasami. Był podwójnie zadowolony: i że major oberwał lanie, i że on sam miał rację, twierdząc, że z więźniami nie wolno się cackać.

– Za mną marsz! – rozkazał.

Po raz drugi już słyszał owo „za mną marsz”. Wtedy oznaczało ono: *z y c i e*. Teraz: *ś m i e r ć*. Zawsze oznaczało to samo: nie należysz do siebie. Podniósł dumnie głowę. „Niech to diabli! Wlałem mu nieźle. Zdeptałem go. Czyż muszę umrzeć? Nie, nie, nie wolno im nic dostrzec na mojej twarzy”. Przeszedł spokojnie obok lekarzy, Helgi, Willego. Chciał coś powiedzieć Willemu, ale nie mógł wykrztusić słowa, przełknął tylko ślinę. Wymienili spojrzenia. Willi uśmiechnął się żałośnie – a więc skończone, stary, idziesz do pieca, *auf Wiedersehen*, mów mi „panie Willi”. Wyszedł, Holder za nim. Trzasnęły drzwi.

Lekarze milczeli.

Kraft powiedział półgębkiem:

– Łajdak... Chciał wygrać faulem. Nie ma dla niego miejsca wśród żywych!

Helga dodała:

– Naturalnie, Walt, on należy do Holdera. Niech Holder robi z nim, co uważa za stosowne.

Willi roześmiał się sucho.

– Pani wie dobrze, co Holder uważa za stosowne.

Helga:

– To nie nasza sprawa.

Lekarz, który sędziował, zauważył:

– Wydawało mi się, że cios był prawidłowy. Widocznie się omyliłem. Ale, panie Kraft (to „panie Kraft” było dla wszystkich niespodzianką: sprowadzało całą sprawę do wymiarów cywilnych; jak gdyby nie istniał żaden obóz, tylko trzech panowie doktorzy i pan Kraft), ludzie powiedzą, że wydał pan więźnia na śmierć dlatego, że pan z nim przegrał. W ciągu tej rundy był pan kilkakrotnie na deskach.

– To się zdarza – odparł, wzruszając ramionami Kraft. – Wygrywałem takie walki.

Lekarz-żartowniś roześmiał się:

– Naturalnie, że go się pan boi. Bił w pana jak w bęben!

– Tak pan sądzi? – spytał Kraft przeciągle.

Trzeci lekarz podał mu lusterko.

– Niech pan spojrzy, panie komendancie. Radzę nie pokazywać się w ciągu kilku dni więźniom. Te sińce muszą zniknąć.

Lekarz-żartowniś używał sobie na całego:

– Posłał go pan na śmierć, bo pana zbił.

– Zwróciłem go tylko Holderowi.

– Naturalnie, Holder go wyczuł i pieści.

Kraft czuł się jak osaczony zwierz. Poza tym dokuczały mu cięgi, które oberwał od Polaka. To, że miał pobitą twarz, obniżało go we własnych oczach. Usiadł skulony na ławie. Jego źrenice biegały niespokojnie. Wysłuchał bez sprzeciwu zdania sędziego:

– Chodzi o pański autorytet, panie Kraft. Holder to roztrąbi na cały obóz.

– Ja też – powiedział nagle trzeci lekarz. – Nie powinien go pan zabijać.

– Nie zabijam go – bronił się Kraft.

– Ależ tak, zabija go pan, to oczywiste.

– Chodzi o pański autorytet – powtórzył lekarz, który sędziował. – Wszyscy powiedzą, że zabił go pan dlatego, że jest lepszym bokserem od pana. Pani jest też tego zdania, Helgo?

Ta idiotka zdobyła się chociaż raz na niegłupie sformułowanie:

– Myślę, Walt, że możesz być wobec niego wspaniałomyślny.

Kraft dźwignął się z ławki. Pomacał dłonią spuchnięte policzki. Zbliżył się do Willego.

– Willi – szepnęła – sprowadź natychmiast Kominka. Z Holderem. Do mojego gabinetu. – Zwrócił się do lekarzy: – Dziękuję panom.

I wyszedł. A Willi pomknął szukać Kominka. Przy komorze gazowej go nie było. J e s z c z e nie było. Gdzie Holder? U siebie!

Kominek siedział na ziemi przed barakiem – wysoki, potężny, z pochyloną twarzą. Przyglądał się, nie wiedzieć czemu, szarej jak popiół ziemi. Obok stał esesman.

– Janusz – szepnęła Willi.

Kominek uniósł leniwie głowę. Esesman poruszył się niespokojnie.

– Czego chcesz? – zwrócił się do Willego. Ordynansa uderzył jego piskliwy, kobiecy głos.

– Kapitana Holdera!

Wyszedł Holder. Kiedy dowiedział się, że major go wzywa z Kominkiem, zaczął kląć. Gówniarza postawili na czele obozu – i oto skutki. Dziesięć razy

każdą decyzję odwoła. Bokser! Dostał lanie od tego zawszonego Polaka, wstyd. Chodźmy.

Major siedział w gabinecie za biurkiem – w eleganckim mundurze, gładko uczesany, dostoyny. Ale na policzku miał plaster, oczy zaś zagubiły się między opuchlinami, to psuło wygląd. Na widok Kominka Kraft odwrócił nieco twarz bokiem i powiedział:

– Aha, jesteście! Tam w kącie są łachy, włóż je. Szybko!

„Coś się stało – zrozumiał Janusz – ale co?”. Willi pociągnął go do kąta. Szybko, szybko. Komendant każe – trzeba słuchać.

Stanął przed Kraftem przebrany w zwykłe ubranie – takie, jakie noszą ludzie spoza drutów. Kraft zmierzył go spojrzeniem. Przesunął doń przez biurko papiery.

– Bierz!

Wziął.

– Nazywasz się Lipiński – wycedził Kraft. – Antoni Lipiński. Rozumiesz? Przyszedł rozkaz zwolnienia Lipińskiego, miał być zwolniony, ale on już dawno... – Kraft rozłożył ręce – fiut! nie ma go... *Verstanden?*

– Tak jest.

– Ty jesteś Lipiński. Jest za pięć jedenasta. O jedenastej kapitan Holder przeprowadzi cię przez bramę obozu. (A więc wolny! wolny!) O trzynastej ogłaszamy alarm: uciekł Janusz Kominek. *Verstanden?* Ale ty jesteś już Lipiński.

– Rozumiem. („Wolność! Wolność! Coś się stało, coś dobrego – wszystko jedno co. Ale coś, co pozwala żądać, stawiać warunki”). Ilu za mnie pójdzie do pieca?

– Głupcze! Co cię to obchodzi? Bierz wolność, kiedy ci dają.

– Ilu pójdzie do pieca? Chcę „fair-play”, panie komendancie.

– Ach, sport... – Kraft uśmiechnął się cierpko. – A więc nikt nie pójdzie. Nikt. – Zajrzał Polakowi w oczy. – Ale ten cios nie był prawidłowy...

W tej chwili komendant wydał się niemal sympatyczny. Kominek schylił lekko głowę.

– Ja też tak myślę, że ten cios był za niski.

Kraft zamyślił się, chciał coś powiedzieć. Nagle zmarszczył się i z ust wystrzeliła mu komenda:

– Odmaszerować!

Kominek szedł, za nim Holder. Zostawił za sobą obóz, błoto, kłującą szarość powietrza, gaz i dym, snujących się więźniów, rozwarłe oczy chłopca,

krzyki bitych, chropawy szept Wężlaka. Przyśpieszył kroku. Uciekał. Przeszedł bez słowa bramę obozu, nie spojrzął na wartowników, nie obejrzał się ani razu za siebie. Jeśli Holder zechce go zastrzelić – niech strzela.

Zapachniały wrzosa, pomieszały się z oddalającym się mdłym zapachem dymu. Nogi stąpały już po trawie, nad głową chwiały się sosny. Napłynął zapach igliwia, żywicy, rozdeptanych grzybów. Szedł po ścieżce leśnej usłanej zeszlými szpilkami sosen i każde stągnięcie sprawiało mu rozkosz.

W dwie godziny później, gdy siedział w ciemnej knajpie nad kuflem piwa, uszu jego dobiegły dalekie dźwięki syren i poszczekiwanie psów.

– Oho – usłyszał głos bufetowego. – Alarm w obozie. Ktoś uciekł. Jeden uciekł, czterdziestu pójdzie do pieca.

Pomyślał wówczas o obietnicy Krafta. Czy jej dotrzyma?

1955

# Na śniegu

Szli otępiali, ze zwieszonymi głowami. Zatopić się w myślach – to było najprostsze. Zapomnieć, że dławi plecak, że gniecie karabin, że cięży manierka z wodą.

Dokoła rozpościerał się ogromny, biały step. Czasem zawył wiatr, podniósł kurzawę śniegu, sypnął za kołnierz lodowatymi ziarnkami, schłostał przepalone mrozem policzki. Czasem któryś przystanął, rozejrzał się – jak biało! jak przeraźliwie biało! – poprawił plecak, i dalej...

Chłopiec liczył kroki: – Raz... dwa... trzy... Do stu wytrzymam. – Ale wytrzymał więcej. Liczby stawały się coraz dłuższe, coraz zawilsze. – Dwieście pięćdziesiąt trzy... dwieście pięćdziesiąt cztery – chłopiec plątał się w nich, gubił, nie nadążał za własnym krokiem. Przestał liczyć.

Bolały nogi. Denerwowało, że droga była zasypana śniegiem, nierówna, jakby na złość, jakby umyślnie. Zbaczało się ciągle w pole, grzęzło w zaspach po kolana, czasem ktoś potknął się, upadł, ale wnet wstawał i szedł dalej – no bo co było robić?

Oficer człapał obok, nachmurzony, zasępioany. Spoglądał od czasu do czasu z troską na żołnierzy i mruczał:

– Prędzej... prędzej... równo...

Ale to tylko tak, dla formy.

Bo szli.

Chłopiec kulał – stopy miał pewnie podparzane – zrobiło mu się gorąco, spocił się. Wiatr zawiewał czasem ostudzającą falą za kołnierz, więc chłopiec rozmyślał: Zaziębę się, zaziębę się, na pewno... – I dziwił się, jak bardzo tego chciał. Zaziębi się, będzie gorączkował, położą go na wozie, wyprostuje zmęczone nogi. Może odeślą go do szpitala?

Potykał się coraz częściej. Ten za nim burknął:

– Co ty, nędzo, nogi nie utrzymasz?

Chłopiec skulił się. Poczuł, że nogi grzęzną w śniegu. Stracił równowagę i upadł. Kolega go szturchnął.

– Wstań!

Mroźny wiatr ledwie muskał twarz, w uszach rozbrzmiewało jakąś daleką, dawno zapomnianą melodią. Rozmarzył się: leży na wozie, koła turkoczą jednostajnie, koń klekoce kopytami po asfalcie.

Próbował zebrać się w sobie, wstać, ale nie mógł.

Nie mam sił – uprzytomnił sobie.

– Co ty? Wstań! – naglił kolega.

– Czego chcesz? – bronił się chłopiec. – Przecież nie mam sił.

I kiedy go podnosili, ciągle się jeszcze opierał:

– Zrozumcie, zrozumcie, nie mam sił... Ale szedł dalej. Karabin rznął ramię, sznury plecaka wpijały się w grzbiet. Ten za nim wyjaśniał mu, że trzeba iść, trudno, trzeba – przecież nie można wpaść w ręce nieprzyjacielowi.

– Co poradzisz? – mówił. – Nie wolno wpaść im w łapy.

Chłopiec o tym wiedział, powtarzał to sobie nieraz, ale wiatr tak nieludzko chłostał i wszystko było takie ciężkie. I ta droga: grudy, zaspasy, grudy, zaspasy. I ten bezkres, koszmar bieli – bezdrzewnej, oślepiającej. Ciągle wracała wizja wozu, ciągle rozbrzmiewał w uszach turkot kół, klekot kopyt. Więc szedł, marząc: leży, wóz unosi go daleko za tę pustkę, między drzewa i ludzi; albo: siedzi przy stole, przed nim kubek gorącej herbaty, ale takiej, że ręce można grzać, a on powoli, powoli ją pije... Ludzie kiwiają nad nim głowami, a on im powtarza: „Nie mam sił... nie mam i już...”.

Ten za nim ciągle go trąca, kilka razy nastąpił mu na piętę, a on nie rzucał mu nawet krótkiego „przestań”. I nagle ogarnęło go przerażenie: O Boże, przecież ja nie mam sił!

Teraz to sobie uświadomił: już koniec. Dalej nie pójdzie. Zostanie tu, na śnieżnym stepie. Albo siądzie na wóz. Wiedział, że na wóz nie wolno siadać, bo szkapina i tak za chwilę, tylko patrzeć, padnie. Ale poprosi oficera.

Oficer zdziwił się:

– Na wóz? Zwariowałeś! Koń przecież zdycha... Nie, nie można!

Żołnierze zatrzymali się. Przysłuchują się, kiwiają głowami.

– Ja już nie mogę – mówił chłopiec. – Nie mam sił.

– Co ja ci poradzę? – Oficer bezradnie trzepnął palcami. – Sam chodzę jak i ty. Jeszcze kilkanaście kilometrów – i nocleg. No, do szeregu!

– Kiedy ja nie mam sił...

– Do diabła! Wszyscy nie mamy sił. Do szeregu!

– Ja dalej nie pójdę – powiedział chłopiec.

Oficer pokiwał z politowaniem głową.

– A gdzie zostaniesz? Tutaj? Rozejrzyj się tylko!

Chłopiec rozejrzał się i przeraził. Więc iść dalej? Człapać, dreptać, zapadać się w śnieg, liczyć kroki, brnąć, brnąć.

Powtórzył:

– Ja dalej nie pójdę.

– Nie pójdziesz? – Oficer miał tego dość. – Gadzie! Do nich chcesz przystać?! – Wyrwał z kabury nagan. – Zastrzelę! Zastrzelę jak psa!

Żołnierze ich otoczyli. Chłopiec rzucił na nich wzrokiem, potem na nagan, wyprostował się i krzyknął:

– Strzelaj!

Oficer osłupiał.

A tamten krzyczał jak opętany:

– Strzelaj! Strzelaj! No, strzelaj!

Nie strzeli – pomyśleli żołnierze. Chłopiec krzyczał, bił się pięściami po piersi, płakał, ale też myślał: Nie strzeli, nie strzeli. – Oficer stał niezdecydowany, palce zaczęły mu marznąć, czuł, że nie ruszy kurkiem.

– Marsz do szeregu! – krzyknął. – Na postoju pójdziesz pod sąd! Marsz, bo zastrzelę jak psa!

– Nie pójdę! Strzelaj!

Oficer ochłódł.

– Myślisz, że nie strzelę? – spytał, unosząc brew.

– Wszystko mi jedno!

– Pójdziesz czy nie?

– Nie strzeli – usłyszał czyjs szept oficer. Przeraził się zaciekłości chłopca, żał mu go przecież było, taki młody. Ale szał mógł się udzielić żołnierzom i jemu samemu; osłabną i oszaleją wśród ogromnego, śnieżnego stepu.

Zacisnęła zęby i wycedził:

– No?

– Nie!

Huknął strzał. Żołnierze wzdrygnęli się. Chłopiec spojrział ze zdziwieniem na oficera, zatrzepotał rękami i zwałił się na śnieg.

Oficer pokiwał głową, schował nagan do kabury. Przez chwilę stał zgarbiony, przypatrując się chłopcu, wreszcie wyprostował się i powiedział cichutko, z westchnieniem:

– Połóżcie go na wóz... jest ranny...

1945